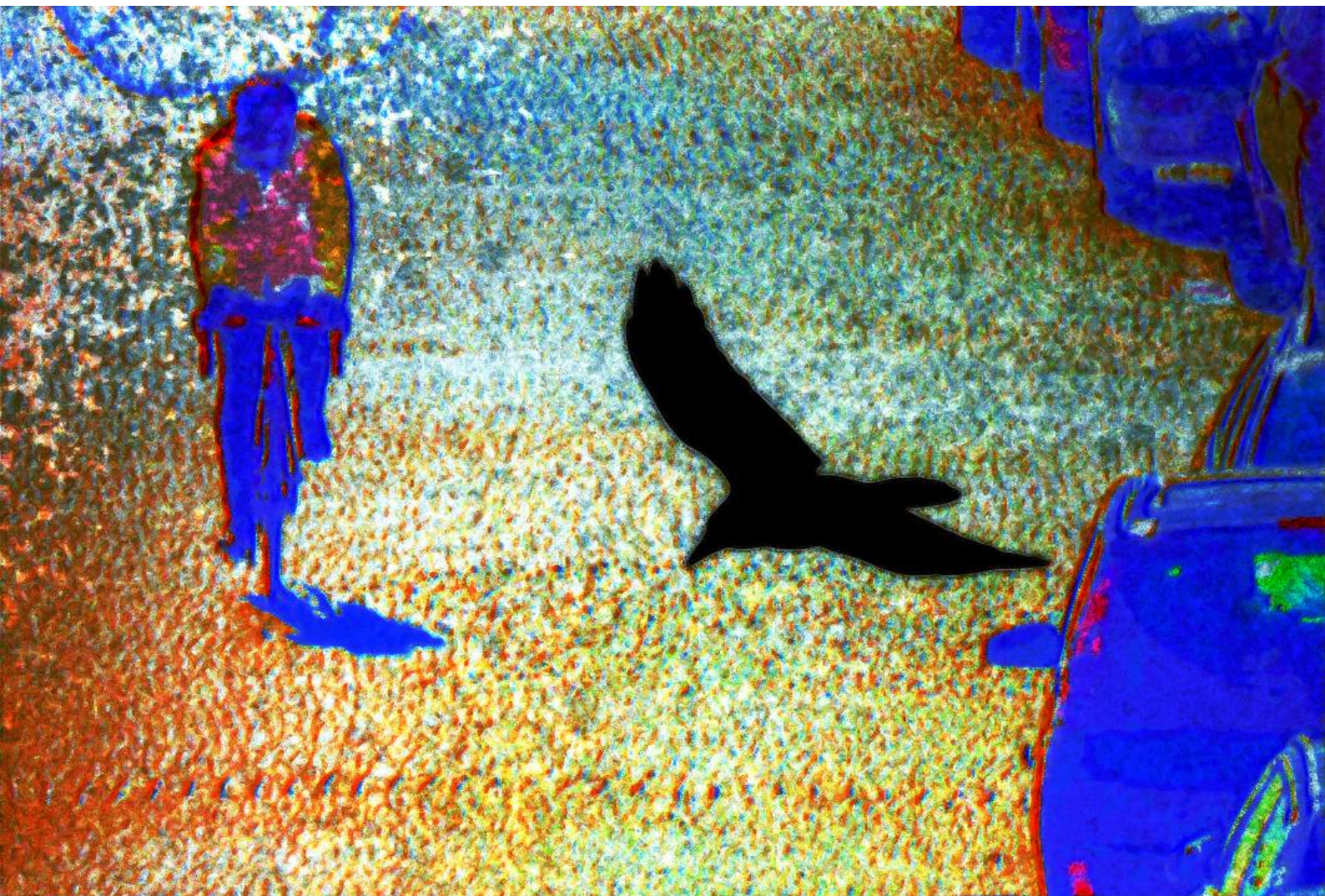




Daniel Drob „Wyjątkowo szary listopad”

Cintryjka



Grafika: Adam Cebula

Stopniowo zbliżał dyszę myjki ciśnieniowej do karoserii. Jakimś cudem stary lakier nie schodził razem ze świńską krwią i błotem. Najpierw umył zakrwawiony grill i maskę, następnie, z większej już odległości, wycelował strumień w szybę. Gdy wymieszana z wodą i błotem jucha spłynęła, Zgrab mógł dokładnie obejrzeć straty. Jedna albo dwie świny – nie pamiętał dobrze – przeokoziółkowały po samochodzie, ale w tamtej krótkiej chwili błoto nie pozwoliło dostrzec dewastacji. Teraz stoi i myje, i patrzy, jak nici pajęczyny rozchodzą się od wycieraczek aż po dach. Katastrofa, szyba do wyrzucenia, okazja, by znaleźć inną, być może nigdy nie nadejdzie. Tak to wygląda w naszych czasach.

Zgrab otworzył drzwi jeepa i przesunął przednie siedzenia jak najbliżej deski rozdzielczej, następnie usiadł z tyłu, z podłogi podniósł opasy *Słownik terminów technicznych*. Zaczął kasłać, ostatnio coraz częściej mu się to przytrafia, ale na razie się nie przejmuje, nie należy do ludzi, którzy przejmowaliby się napadami kaszlu. Poza tym to od palenia – mówił sobie – za dużo fajek, ale jak tu nie palić, jak nie palić teraz, w naszych czasach? Na twardą okładkę *Słownika terminów technicznych* wysypał garstkę tytoniu i przeszukał kieszenie kurtki. Gdy niczego nie znalazł, ostrożnie odłożył słownik z tytoniem na siedzenie obok. Wyginając ciało między przednim fotelem a sufitem, sięgnął do schowka i wyjął z niego nieduży pakiet.

Niewątpliwą zaletą słownika była jego twarda oprawa, wadą zaś objętość i waga. Czasem, jak Zgrabowi trafiło się jakieś dłuższe przeczekanie, zaglądał do niego i czytał definicje wyrazów, które

po chwili zapominał. Zwykle jednak wyrywał te słowa. To znaczy, nie same słowa, tylko kartki nimi pokryte. Wyrywał i sztukował, żeby mieć w co zawinąć tytoń albo trawkę, albo tytoń z trawką. O ile zatem do głowy terminy techniczne mu nie wchodziły, płuca wchłaniały je niczym powietrze.

Nad słownikiem zaczął rozdzierać i kruszyć zielonkawy susz. Zgrab lubił zapalić i piwo wypić lubił, szkoda tylko, że piwo trudno było dostać, bliżej Zamku czasem coś rzucili. Gorzej tutaj, w gminie, za Wielkim Lasem, tutaj piwo w sklepie to święto. Zgrab lubił też czasem coś wciągnąć i jakąś wyruchać, nawet jak ona nie lubiła, a jak żadnej w pobliżu nie było, lubił sam sobie dogodzić. Lubiał przypierdolić od czasu do czasu, nażyć się i pokrzyczeć. Czasem też pomilczeć, ale jak milczał, zaczynał myśleć, a jak myślał, zwykle nie rozumiał obiektów, o których myśli, i to go bolało. Bardzo go bolało, że nie rozumie, czym jest ten świat, czym jest on i dlaczego robi to, co robi. Czy mógłbym robić coś innego? – męczył się.

Zgrab nie mógłby robić niczego innego, nie z taką historią. Zgrab nie mógłby być kimś innym. Zgrab może być tylko Zgrabem.

Już mu się przysypiało, gdy z ręcznego CB radia wydobył się trzask. Usłyszał głos Michałowskiego.

– Zgrabie! Zgrab! Nie śpij, wpadnij do mnie na herbatę. No chodź, chodź, mam dobrą herbatę, serio, napijesz się gorącego, no chooodź.

Jak Edmund Michałowski zaprasza na herbatę, to może oznaczać wszystko poza herbatą.

Mimo dużej niechęci hycel wstał. Nie obchodził go interes Michałowskiego ani gorący napój, którego i tak pewnie nie będzie. Zgrab od rana nie miał niczego w ustach i liczył na jakiś posiłek. Bo choć wójt słynie ze skąpstwa, to przecież sam go wezwał. Nie byłby, myślał, takim chujem przecież, żeby wzywać i nawet cienkiej zupy nie podać.

Michałowski mieszkał nieopodal starej rogatki. Niedawno zrobił remont mieszkania, ludzie mówią, że wziął z gminnego budżetu. Ludzie nie są głupi, nawet w naszych czasach. Obok domu Michałowskiego jest urząd, nie ma więc daleko do pracy. Ale to już zwykły zbieg okoliczności – mieszkał tam, jak jeszcze nie był panem gminy.

– Cześć! Wchodź, wchodź, nie zdejmuj butów, siadaj. No! Co tam słychać, dużo roboty dzisiaj?

– Normalnie – odpowiedział i usiadł przy stole. Ku jego zaskoczeniu Michałowski postawił przed nim kubek z herbatą. W domu było ciepło, okna były szczelne i mimo liszajów na suficie można było za taki kąt zabić. Jeśli jednak Zgrab miałby to zrobić, to nie dlatego, że podobało mu się siedzenie w cieple. Jeśli kiedykolwiek Zgrab zrobi to, co tak często sobie wyobraża, czyli zmiażdży głowę Michałowskiego pięścią z kastetem, to za co innego. Zabije go za te wszystkie „Zgrabie! Zgrab! Zgrabciu kochany!”, to za tę familiarność podszytą pogardą rozerwie mu kiedyś ciało i rozrzuci po gminie, nakarmi nim szarych ludzi, którzy jak świnie jedzą wszystko. Widzi, jak zjadają jego twarz, wysysają krew z szyi, rozrywają brzuch i wchłaniają trzewia.

Na myśl o rozszarpaniu wójta Zgrab zaczął się pocić z ekscytacji. Łaskoczące strużki spływały po skórze i wsiąkały w ubranie.

– Powiedz mi, kolego, jak mają się sprawy z tymi bandziorami? – Michałowski rozproszył jego wizję. – Coraz bardziej mnie wkurwiają. Że człowieka w lesie ktoś czasem w naszych czasach zaatakuje, to się zdarza, ale żeby pocztę napadać? Pomyślałem sobie, że ktoś z nimi musi w końcu zrobić porządek, no a powiedz, kto, jak nie ty? Nie mamy tu u nas zbyt wielu rozsądnych ludzi, rozsądnych i z jajami. Natomiast ty, Zgrabciu, jako szef gminnego wydziału stabilizacyjnego, nadawałbyś się do tego idealnie. Żebyś zrozumiał, pieniądze ekstra dostaniesz, na wszystko napiszemy nowy kontrakt,

nie chodzi, żebyś ich ganiał po lasach, ale żeby tak wybadać, o co im biega. Rozumiesz? Cemu nie pijesz herbaty?

Zgrab podniósł kubek do ust. Wiedział, o czym mówił Michałowski, wiedział dużo więcej niż on. Ludzie zawsze dużo mówili, nawet jak nie powinni, a Zgrab zawsze słuchał. Nawet jak nie powinien. Dlatego był najlepszym hyclem po tej stronie Wisły. Dlatego wiedział, że żadna banda nie napadła poczty, tylko jeden facet z psami, facet, którego tu nie powinno być. Nie wiadomo, gdzie był i co robił, wiadomo tylko, że wrócił do Bomanowa ze swoim insyngentym projektem. Przynajmniej Zgrab wiedział. Hycel może nie był geniuszem, ale więcej słuchał, niż mówił, a to zwykle wystarcza, by wiedzieć.

- Sprawdzę. Gotujesz jakiś obiad, czy coś? - zapytał, wypływając na podłogę fusy, które zatrzymały się na zębach.

Michałowski spojrzał na niego, jakby nie rozumiał pytania. Po chwili namysłu poszedł do kuchni i wrócił z kawałkiem kiełbasy długości kciuka. - Mogę ci jeszcze dolać herbaty - powiedział.

Zgrab niewiele pamięta z dzieciństwa, ale wydaje mu się, że wtedy było normalniej. Na pewno widywało się mniej szarych ludzi, kurczaków, marszczków czy jak ich tam jeszcze naród nazywa. W ośrodku nie było co prawda wesoło, ale z drugiej strony, nie musiał tyle myśleć; żeby przeżyć, wystarczyło napinać w odpowiednim momencie mięśnie. Jeśli raz na jakiś czas pojawiał się chaos, personel przez lata wypracował metody, by sobie z nim sprawnie poradzić. Wtedy umiejętność napinania mięśni przydawała się najbardziej. „A przede wszystkim w ośrodku nie było świń, które wpadają stadem pod samochód” - pomyślał, zbliżając się do jeepa. W poprzednim życiu Zgraba nie było też wielu innych rzeczy: głodu, Michałowskiego, innych hyclów i w ogóle hyclowania. Był za to strach. Zgrab urodził się kilka lat po rozpadzie Unii, kiedy było już wiadomo, że amerykańscy naukowcy nie wymyślą niczego nowego w kwestii kurzej grypy. Zgrab pamiętał, jak w telewizji, bo była jeszcze telewizja, pokazywali chorych. Widział ich szare, pomarszczone ciała. Ciała trzydziesto-, dwudziesto-, dziesięcioletnie, ciała niezdolne do samodzielnego życia, ciała szare od urodzenia lub ciała nagle szarzące. Bo tak działała zaraza, chyba tylko dla oswojenia się z jej paskudnością nazywana kurzą: niektórzy się z nią rodzili, inni nabywali, jeszcze inni, jak Michałowski, wyszarpywali dzięki niej kawałek władzy.

Zgrab miał czas przygotować się do zawodu. Już wtedy, w ośrodku, przed telewizorem, zastanawiał się, po co oni żyją, przeczuwał, że nic dobrego z ich istnienia nie wyniknie, już wtedy był gotowy na tę robotę. Później, po wyjściu ze schroniska dla nieletnich w Bomanowie, przemianowanego po jakimś czasie na ośrodek dla nieletnich w Bomanowie, spotkał Michałowskiego. Michałowski, jeszcze nie wójt, jeszcze nikt (ale z zadatkami na kogoś), dał mu trochę grosza za pobicie jakiegoś faceta, starszego referenta ds. gospodarki komunalnej w gminie Bomanów. Później Michałowski wygrał wybory. Zgrab nie wiedział, że to były pierwsze w Polsce wybory po 89', w których wygrywał ten, co wiedział, kogo pobić, a nie ten, który wiedział, komu lizać tyłek. Michałowski wtedy stał się prawdziwym Michałowskim, a niejaki Piotrek, prosty, ale nie jakiś bardzo głupi chłopak, stał się Zgrabem, hyclem z papierami. Marszczków przybywało, była robota, ani dobra, ani zła, po prostu robota.

Zgrab wszedł do samochodu i dokończył skręta. Wyłączył CB, wydłubał z nosa jakąś obrzydliwość i zasnął z nią na palcu.

Bocian przeżył, mimo że po drodze z gniazda zahaczył łbem o krawędź wiaty. Gdy Zgrab, rozbudzony hukiem, do niego podszedł, ten bezdźwięcznie otwierał i zamykał dziób, jakby ostatkiem sił próbował zaklekotać. Hycel spojrzał na jego gołą skórę, szarą, jakby ugotowaną, i spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział ptaka z piórami. Jest ich coraz mniej, zwłaszcza bocianów. W

pierwszych zimach epidemii widywało się ich mnóstwo, bo nie miały sił na lot do Afryki. Później zdychały, dziesiątkami, setkami. Niedługo zdechną wszystkie, bo te, co mają pióra i siłę do latania, zawsze po zimie wracają do zarazy. Zgrab nie mógł tego zrozumieć, dlatego poszedł po nóż do samochodu i zrobił krótkie ciach na długiej szyi ptaka. Zawsze tak robi, gdy nie rozumie.

Noc, a właściwie ciemny przedświt, był chłodny, nawet jak na połowę listopada. Zgrab rozpiął ortalionową kurtkę na wysokość mostka i opatulił się grubą chustą. Nie było już sensu kłaść się spać, podniósł więc maskę jeepa i kilka razy ścisnął gruszkę pompki – gdy silnik nie pracuje, ropa gdzieś spływa i trudno odpalić. Następnie uruchomił samochód i znowu dostał ataku kaszlu. Gdy mu przeszło, jeszcze raz obejrzał rozbitą przez świny szybę. Po lewej stronie nitki pęknięcia były rzadsze, jazda z pozostawioną szybą – choć niezbyt komfortowa – była możliwa. Ta diagnoza, zwłaszcza w kontekście zimy, która zaraz nadejdzie, poprawiła Zgrabowi humor do tego stopnia, że na chwilę przestał myśleć o rzucaniu Michałowskiego marszczkom na pożarcie. Usiadł za kierownicą i ruszył w stronę Dołów.

Lubił tę osadę. W jego rewirze, który składał się aż z pięciu dużych wsi, Doły były właściwie jedynym miejscem, gdzie niemal zawsze znalazł się ktoś szary do wyłowienia. Trudniej było radzić sobie z upartymi mieszkańcami, ale Zgrab zawsze ich przekonywał. Jak nie pałką, to pistoletem. Jeśli gdzieś rzeczywiście istnieje jakaś partyzantka, to tylko w tym sołectwie, cichym, ukrytym między drzewami skupisku domów i chat, w większości pustych.

Droga prowadząca do lasu była w całkiem niezłym stanie. Dopiero kilkaset metrów przed pierwszymi drzewami zaczynała się rozpadać; dziury gęstniały i pogłębiały się z każdym metrem, ominięcie wszystkich stawało się niemożliwe. Zgrab zwolnił do 10 km/h, samochód toczył się z wolna, podskakując co rusz na ubytkach. W końcu skręcił w pełną ścieżkę, która otaczała las, i zatrzymał jeepa za niewielkim zagajnikiem na środku pola. Wyjął ze schowka dwa zapasowe papierosy i pistolet, wrzucił do swojego plecaka na jednej szelce. Nóż już w nim leżał.

Zgrab przedarł się przez pierwsze chaszcze, minął pierwsze drzewa, po czym zastygł w bezruchu, aby rozeznaczyć teren. Najbezpieczniejsza, ale i bodaj najdłuższa droga wiodła wzdłuż wysokiej skarpy, przecinającej sporą połąć ziemi na północy lasu. Wieśniacy zwykle się tam nie pojawiali; niewiele rośło tam drzew, które można by było wyrąbać na opał, niewiele było owocowych krzewów i grzybów, rzadko też widywano w tej części lasu zwierzynę. Zgrab szedł najciszej, jak potrafił. Po latach spędzonych na stawianiu buciurów tam, gdzie go nie chcą, wiedział, jak ważne jest zaskoczenie. I mimo tych przepracowanych lat nadal był pod wrażeniem sprytu wieśniaków, którzy potrafili organizować skrytki pod ziemią, w ścianach domu, w kominach, psich budach, śmietnikach i szambach. Umieeli też bardzo szybko reagować, gdy tylko usłyszeli bądź zobaczyli cokolwiek, co nie należało do ich codziennego krajobrazu.

Hycel miał przed sobą jeszcze ponad kilometr marszu, musiał trochę przyspieszyć. Nie miał planu, co robi, gdy już będzie w wiosce, ale zwykle tak jest, że się nie planuje. Po prostu się wchodzi: do mieszkania, do pokoju, do piwnicy, a później samo jakoś leci: zrywa się podłogę, rozbija ścianę, łapie pomarszczone, szare ręce, ogłusza, czasem się strzela na miejscu. I się odchodzi, zostawiając krzyk, głośny i niezrozumiały. Po co? Za czym oni się tak drą? — zastanawiał się i im dłużej wyławiał, neutralizował, sprzątał, tym trudniejsze wydawało mu się znalezienie odpowiedzi na to pytanie.

Dom sołtysa Dołów – Kołodziejskiego, Kołodzieja, Kołodziejczaka, Zgrab nie mógł sobie przypomnieć nazwiska – stał przy głównej drodze, będącej przedłużeniem popękanej szosy, po której wcześniej toczył się jeepem. Obok sołtysowej posiadłości stały tu jeszcze dwa inne, nowsze i brzydsze, postawione nie dawniej niż pięć lat temu budynki. Budowniczo wie tych surowych, pustakowych brył straszydeł rysowali projekty kredą na dyktach, albo w ogóle się projektami nie przejmowali. Dom, za którym stał Zgrab, składał się z wystających we wszystkie kierunki klocków, można było się

domyślić, że każdy z nich jest oddzielnym pomieszczeniem. Hycel rozejrzał się po okolicy i szybkim krokiem podszedł do furtki bez zamka. W głębi podwórka, po prawej stronie, stała drewniana komórka, z której dochodził dźwięk uruchomionej szlifierki. Zgrab bez pukania otworzył drzwi. Szlifierka ucichła.

Sołtys Kołodziej (Zgrab przypomniał sobie nazwisko, gdy zobaczył jego łysą głowę i kolczyk w nosie) upierał się, że nie widział i najprawdopodobniej nie ma w Dołach żadnych szarych, może gdzie indziej, za lasem, w Lipowie, tam przecież ich zawsze było najwięcej, ale nie tutaj. Obaj wiedzieli, jak to się skończy. Kołodziej w głębi duszy nie wierzył, że kłamstwa cokolwiek dadzą, chciał jedynie „zrobić, co trzeba”, uspokoić sumienie, być trochę mniejszą gnidą niż w rzeczywistości. By przyspieszyć jego gadaninę, Zgrab włączył zamontowaną na drewnianym blacie szlifierkę i przystawił do wirującego kamienia stalowy płaskownik, nad którym wcześniej pracował sołtys. Iskry obficie sypały w Kołodzieja.

- Gospodarstwo przy wyjeździe z lasu, w stronę Bomanowa Kolonii, rodzina Polaków - wydukał po chwili.

- Jeszcze jedna sprawa - hycel nie przestawał szlifować kawałka stali. - Ten facet z psami, wysoki, chudy, mieszkał kiedyś w starym młynie razem z innymi, wiesz który, gdzie go znaleźć?

- Przecież już dwa lata będzie, jak wyjechał.

- Zostawił psy, dwa owczarki, to razem 8 łap i dwa pyski. Dużo kłów i pazurów, masz rację, same mogły podpierdolić kasę z poczty.

- Dobra, mi też on nie pasuje. Ludzie czasem go widzą, jak łązi to tu, to tam, na targu czasami, ktoś widział, jak z Warszawy jechał bussem, innym razem miał chodzić po lesie, grzyby zbierał, ma ponoć na rękach tatuaż kółka zakreślonego, wiesz, insurgenci i takie tam. Różnie gadają. Niektórzy mówią, że tego dnia na poczcie nie było nikogo z gardy, inni, że wszystkich przekupił i gdy przyszło co do czego, wyszli sobie zapalić, ale to akurat ty powinienesz lepiej wiedzieć. Nie wiem, gdzie jest, ale na pewno nie mieszka u nas, mówią, że wrócił żeby zrobić interesy...

- I rozjebał pocztę?

- A to nie tak się w naszych czasach robi interesy?

Zgrab wyszedł z komórki i zapalił papierosa. W sprawie poczty nie dowiedział się niczego, do czego sam by nie doszedł, ale przynajmniej pojawiła się szansa na jakiś odłów, dzień mógł być jeszcze udany. Hycel doskonale wiedział, o jakim domu mówił Kołodziej. Dom bogatych gospodarzy, parterowy, z nową elewacją i ładnym płotem. I zapewne ładnymi wnętrzami, które fajnie by było zniszczyć.

Na pukanie nikt nie odpowiedział. Zgrab wyciągnął z plecaka pistolet i włożył do wewnętrznej kieszeni kurtki, kurtkę zostawił rozpiętą. Krzyknął raz, drugi, ale dalej cisza. Okrążył dom, z tyłu znajdował się niewielki garaż z bramą. Za nim widać było zarastającą ugór wysoką trawę, w oddali zaś sterczały drzewa, skupione na wyspie pośród niczego. Zgrab wrócił przed dom i kamieniem rozbił szybę na parterze. Kolejną. Sporo już tych szyb w życiu porozbijał, pewnie więcej niż czaszek.

Szybko omiół wzrokiem pierwsze pomieszczenie, pełniące zapewne funkcję salonu. Następnie obejrzał resztę: dwa mniejsze pokoje, kuchnię i łazienkę. Nikogo nigdzie, żadnych oznak pośpiesznego zbierania najważniejszych rzeczy. Zgrab wrócił do salonu. Na podłodze, przed regałem z książkami, leżało zdjęcie właścicieli, między mamą i tatą syn, obok choinka, na stole ładne talerze, wszystko wigilijne, łącznie z uśmiechami.

Po prawej stronie, na podłodze przed regałem, leżały dwie grube książki, które ktoś musiał specjalnie lub przypadkowo zrzucić z półki. Hycel spróbował przesunąć mebel, ale okazał się zbyt ciężki, przewrócił go więc na bok. Gdy tylko regał z hukiem uderzył o podłogę, Zgrab usłyszał za sobą jakiś ruch. W ostatniej chwili odwrócił się i nóż opadł na jego lewe ramię, nie zaś na plecy lub szyję. Hycel odruchowo uderzył mężczyznę prawym sierpowym, sięgnął po pistolet i trzykrotnie do niego strzelił. Jedna kula trafiła w serce, druga tuż obok, trzecia wbiła się w parkiet. Mężczyzna był postawny, miał około metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie ramiona, czarne, bujne włosy odstawały we wszystkie strony, jakby dopiero co wstał z łóżka. Jego martwa twarz była nastoletnio wręcz przerażona. Zgrab wychylił głowę z pokoju, drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Poruszał nimi, zawiasy były dobrze nasmarowane, nie wydały nawet skrzypnięcia. W miejscu wywróconego regału znajdowały się trzy grube listwy, po ich zdjęciu Zgrab ujrzał ciemną, wiodącą w dół sztolnię. Wszystko jasne, po to robili remont.

Zobaczyli mnie przez okno i wskoczyli do tunelu, rekonstruował hycel, czołgali się w ścisku, widocznie marszczek jest jeszcze dosyć sprawny, zapewne kilka metrów za garażem, w najbardziej zarośniętym miejscu, wyszli na powierzchnię i pobiegli w stronę lasu, albo do sąsiadów. Tylko głupi facet wrócił, żeby mnie zatrzymać.

Zgrab wolnym krokiem poszedł na tył podwórka i stanął przy magazynie. Na polu, pośród wysokich traw, dostrzegł biegnącą w stronę zagajnika kobietę. Była ubrana bardzo po polsku: biało na górze i czerwono na dole, ale w naszych czasach to skojarzenie jest mniej oczywiste. Hycel nikogo obok biegnącej flagi nie widział, a przecież ktoś być musiał, po co sama by uciekała. Gdy szedł w jej stronę, przypomniała mu się scena z jakiegoś starego filmu wojennego, który dawno temu oglądał w ośrodku. Amerykański żołnierz strzela z helikoptera do jakichś Wietnamczyków, Chińczyków, czy kogoś tam (mieli w każdym razie te śmieszne okrągłe kapelusze z delikatnym stożkiem), żółtki padają jak muchy, sekwencja strzelania trwa wręcz niefilmowo długo. W pewnym momencie inny żołnierz pyta: jak możesz zabijać kobiety i dzieci? A tamten, z ogromnym karabinem na stojaku i szerokim uśmiechem na gębie, mówi na to: to proste, wolniej biegają!

I gdy biało-czerwona kobieta wbiegła między drzewa, Zgrab wiedział, że bez problemu może ją dogonić, bo przecież kobiety wolniej biegają, ale ostatecznie nie ją chciał złapać. Szedł więc spokojnie przez pole i, tak jak przeczuwał, po kilkudziesięciu krokach od garażu znalazł wyjście z tunelu, zakryte klapą z desek i blachy. Po odrzuceniu włazu zobaczył pomarszczoną skórę głowy kucającego w podkocie chłopaka. Wyciągnął go za ramiona. Trudno było określić, ile ma lat, ale - sądząc po wzroście i wieku rodziców - nie miał więcej niż 14. Musiał zachorować niedawno, wyglądał, jakby rozumiał, co się dzieje, z jego zamglonych oczu wзираł strach, przez co jeszcze bardziej przypominał ojca.

Marszczek, choć z dużym opóźnieniem, reagował na ruchy hycła, który, po wyciągnięciu go na powierzchnię, szturchnięciami wskazywał kierunek, w jakim mają iść. Doszli tak razem prawie do garażu, gdy w pewnym momencie Zgrab usłyszał za plecami stawiane w pośpiechu kroki i krzyk. - Co wy robicie, kurwa, zwierzęta!

Kobieta podbiegła do niego i zaczęła bić zaciśniętymi pięściami po twarzy, hycel złapał ją i odepchnął. Zawsze to samo, pomyślał, oni nigdy nie rozumieją.

- Proszę się wyzbyc tego egoizmu, wyjść poza tu i teraz, pomyśleć o społeczności! - formułki, którą Zgrab właśnie rozpoczął, nauczył go lata temu Michałowski, tak bardzo wryła mu się w pamięć, że przestał ją rozumieć. - Ja wiem, że państwo macie pieniądze i was stać, by karmić chorego syna, pożerającego 10 kilo mięsa dziennie, ale proszę pomyśleć, czym to mięso byłoby dla naszej biednej gminy, jeśli by je dobrze rozdysponować? Ile dzieci, cierpiących głód, często chorujących z powodu wybrakowanej diety na śmiertelne choroby, można by było uratować? Pani chyba nie widzi naszego

świata, pani jest ślepa na prawdę, a prawdą jest ten ugór, na którym stoimy, prawdą jest zaraza, brak plonów, coraz więcej chorujących świń i krów, które już nas swoim mięsem i mlekiem nie nakarmią. Pani teraz myśli: potwór bez uczuć, ale nie widzi pani, że ja mam uczucia daleko górujące nad pani egoizmem, ja, proszę pani, swojego brata musiałem oddać do schroniska, bo wiedziałem, że mnie nie będzie stać, że żeby go utrzymać przy życiu, musiałbym kraść i zabijać, że przez mój egoizm nadszarpnąłbym i tak już mocno nadwyrężony organizm społeczny, w którym przyszło nam żyć!

Kobieta podeszła do syna i kucnęła, żeby go przytulić, ale Zgrab odepchnął ją na bok. – Pani przecież wie, że to przez pobłażliwość, z jaką władze dawniej traktowały tę dewastującą anomalię, jesteście teraz w tak tragicznej kondycji. Niestety, parszywe czasy, w jakich przyszło nam żyć, wymagają parszywych metod, a słabość, jaką pani tutaj teraz prezentuje, jedynie szkodzi naszym próbom podtrzymania życia w tym kraju.

– Płacimy podatki, oddajemy kontyngenty, co więcej mamy robić? Możemy się chyba opiekować naszym synem! – krzyknęła matka szarego ciała.

Dopiero teraz zwrócił uwagę, że matka chorego jest całkiem atrakcyjna, z odpowiednimi proporcjami i ustami bardzo działającymi na wyobraźnię. Gdyby nie zmęczenie i wkurwienie, na pewno skorzystałby z okazji.

– A ile kontyngentów moglibyście oddawać, gdyby nie wasz wszytkożerny syn?!

Widząc, że do rozhisteryzowanej kobiety nie docierają logiczne argumenty, Zgrab złapał sterczącego obok marszczka i pchnął go przed siebie. Kobieta, łkając, ruszyła za nimi. Minęli podwórko i weszli na ulicę, matka cały czas krzyczała do wszystkich i do nikogo – „Ludzie, pomóżcie, ludzie, pomóżcie!” – ale sąsiedzi słyszeli strzały, wiedzieli, co się dzieje i pozamykali się w swoich domach. W końcu przestała za nimi iść i wróciła na podwórko. Minęła dom, weszła do garażu i tam prawie na pewno powiesiła się na pierwszej podłużnej i wystarczająco giętkiej rzeczy, która wpadła jej w ręce. Zgrab tego nie widział, ale był pewien, że tylko tak może się to skończyć. Mylił się znacząco.

Hycel wepchnął szarego człowieka na tył jeepa i usiadł za kierownicą. Najbliższy punkt odbioru znajdował się kilka kilometrów za Bomanowem. Sam budynek był niewielki, ale za murami rozciągał się długi kompleks boksów z siatki i drutu. Zdecydowanie zbyt duży, jak na podaż w naszych czasach. Na jednej zmianie pracowały zwykle trzy osoby: jedna do pilnowania, druga od prowadzenia zeszytów i pisanie raportów, i trzecia, która przyjmowała marszczka oraz wystawiała kwit. Dzisiaj był to Michał, prawie dwa metry wzrostu, po pięćdziesiątce, z lekkim brzuchem, wiecznym uśmiechem na gębie i łojem na włosach. Wszyscy nazywali go Olbrzymem albo Ogrem.

– W końcu jakiś żywy – powiedział, zakładając pętlę na nadgarstek marszczka.

– A co tobie to za różnica?

– Instytut z Warszawy ich teraz odbiera, chyba wznawiają badania. Jak dla mnie to jakaś lipa, tyle lat badali i nawet nie wiedzą, skąd ta mutacja, czy chuj wie, jak to się nazywa. W każdym razie dobrze płacą za żywych, więc ostrożnie, Zgrabciu, ostrożnie i pomału.

Zgrab wsiadł z powrotem do samochodu. Niebo, a z niebem powietrze, zaczynało szarzeć, tak w listopadzie zwykle zaczyna się wieczór, a później noc. A później zima.

Zgrab chciałby wrócić do domu, ale nie może, bo nie ma, nigdy nie miał. Dlatego znowu śpi w samochodzie. Strach przed chłodem sprawia, że już teraz trzęsie się z zimna, ale strach przed pustymi domami, które sam kiedyś rujnował, odławiając z nich marszczków, jest silniejszy od najgorszego koszmaru. Nie rozumie do końca dlaczego, ale nie potrafiłby zmrużyć oka gdzieś między

tymi ścianami.

- Zgrab! Zgrab! Słyszysz mnie?!- zaryczało radio. Zgrab rozpoznał głos młodego chłopaka, pracującego od niedawna jako dyżurny w gminie. Nie znał jego imienia, ale kojarzył twarz. Podobno, tak jak Michałowski, był pedałem, to tłumaczyłoby jego obecność w urzędzie. Mówiło się nawet, że czasem się spotykają, ale w to już Zgrab nie wierzył.

- Co?

- Michałowski do mnie dzwonił, mówił, że stare dobre czasy wróciły, nie wiem, co to kurwa niby ma znaczyć, ale masz pojechać na stare domki w Snopach, gdzieś koło młyna kręcą się szaraki, większa grupa.

- Jadę.

Zgrab od lat nie natknął się na więcej niż jednego pomarszczonego w tym samym miejscu o tej samej porze, nie wspominając już o odławianiu całej grupy. Od momentu wdrożenia przez niektóre kraje polityki „pomocy doraźnej”, polegającej na wyłapywaniu obciążających system finansowy chorych, liczba szarych spadła praktycznie z dnia na dzień. To było jedyne wyjście i Zgrab wierzył, że najlepsze. Godził się nawet z tym, że być może przez to kiedyś zostanie bezrobotnym.

Gmina Bomanów – liczba ludności:

Stan na 2019 r. – 7650

Stan na 2030 r. – 3920 (w przybliżeniu, ponieważ oficjalnie GUS, jak i podlegające mu lokalne urzędy statystyczne, od dawna nie istnieją).

Zgrab znał te dane, ale nigdy nie zastanawiał się nad różnicą między liczbami. Malejąca populacja była dla niego czymś naturalnym. Nie znał dodatniego przyrostu naturalnego, coś tam słyszał od starszych, ale ciężko mu było zrozumieć, jak kiedyś tylu ludzi mieściło się na tej niewielkiej planecie. Przyzwyczajony był raczej do myśli, że kiedyś wszyscy mieszkańcy Bomanowa znikną. Co do całego globu, nie miał pewności, może gdzieś w Ameryce znajdą sposób na chorobę, może już znaleźli, a my o tym nie wiemy. Albo przeprowadzą się do kosmosu. W każdym razie Bomanów wymrze, tego Zgrab był pewien, w końcu ze wszystkich żyjących znajdował się najbliżej śmierci tych pól, lasów, zwierząt i ludzi. Żył tą śmiercią, czuł ją, jakby była zapachem lub emocją.

Osiedle Snopy były wymarłe niemal zupełnie. Przyszłość w miniaturze. Życie pojawiało się tam przejazdem, gdy komuś nie pasowała inna droga. Dlatego Zgrab w drodze do starego młyna zaczął wątpić w słowa pedała z gminy – grupy marszczków nie pojawiają się znikąd.

Minął stary kościół i niszczone przez czas cmentarz. Bo tutaj nawet mogiły umierały. Mimo nocy wyłączył światła samochodu i powoli toczył się między domami. Zatrzymał się przy niewielkim kościele, zgasił silnik i wysiadł. Zapalił latarkę i wszedł do dawnej świątyni. Po białej farbie na ścianach pozostały jedynie postrzępione plamy, marmurowy ołtarz już dawno został rozkradziony, wszystko inne zresztą też. Na wszelki wypadek sprawdził wszystkie wnęki, zajrzał nawet do zakrystii, ale nigdzie nie leżał choćby jeden. Podobny rezultat dało obejrzenie pozostałych pustostanów. Nie sprawdzał dokładnie, zaglądał jedynie na partery – szaraki same nie wspięłyby się po schodach. Po kwadransie bezowocnych poszukiwań do pełnego rekonesansu pozostało jedynie sprawdzenie starego młyna.

Dwuskrzydłowa, zmurszała brama była zamknięta na kłódkę. Zgrab kilkoma kopniakami zrobił dziurę pod łańcuchem, prześlizgnął się do środka i stanął nieruchomo. Po prawej stronie usłyszał wilgotne,

kojarzące się z fizjologicznymi wydzielinami dźwięki. Skierował tam światło latarki i ujrzał pięć szarych ciał, trzy spośród nich się nie ruszały, czwarte, znajdujące się najdalej w głębi hali, leżało na plecach i flegmatycznie majtało głową od ramienia do ramienia. Ostatni z marszczków pełzł na czworakach w stronę światła. Hycel nigdy czegoś takiego nie widział, szare ciało wydawało się twarde od mięśni, na skroniach intensywnie pulsowały żyły, a z sinych ust na murowaną posadzkę spływały gęste nici białych glutów. Pod ciężką mazią dało się dostrzec powykrzywiane żółte zęby, palce zaś były zakończone przerośniętymi, grubymi paznokciami. W pierwszej chwili Zgrab chciał go od razu zastrzelić, żeby zaoszczędzić sobie kłopotu, ale przypomniał sobie o wznowieniu badań. Taki odłów to na pewno kilka dodatkowych złotych, może nawet dostanie awans, może jakiś kąt w gminie. Minął pełzającego marszczka szerokim łukiem i poszedł przyjrzeć się pozostałym. Mimo kurzej grypy można było zauważyć w szarości ich twarzy pewne podobieństwa: płaskie kości policzkowe, małe, wąskie oczy i spiczaste, dziobowate nosy. Zgrab nigdy jeszcze nie odławiał całej rodziny.

Z nieba nie spadli i nie zamknęli się w opuszczonym młynie, nie przypełzli tu nie wiadomo skąd, nie są jakimiś kloszardami, którzy z dnia na dzień zachorowali. Zgrab to wszystko wiedział, dlatego, wracając do jeepa, rozglądał się na boki i nasłuchiwał.

Po złożeniu tylnych siedzeń zajechał pod młyn. Nie wyłączając silnika, wysiadł z samochodu. Z bagażnika wyjął kawałek liny i poliestrowe, wzmacniane silikonem rękawice, bardzo je lubił, dobrze się w nich chwyciło. Przed wejściem do młyna zaplątał na końcach sznura dwie pętle. Ogłuszył zażywnego marszczka dwoma kopniakami w twarz, dzięki czemu związanie go nie było specjalnie trudne. Gorzej z przeniesieniem do samochodu – hycel poddał się po kilku próbach i przeciągnął półżywego po ziemi. Gdy wracał po resztę rodziny, przed bramą zobaczył bladoczerwone plamy. Skóra marszczka musiała rozedrzeć się na chropowatych krawędziach dziury.

Po zapakowaniu wszystkich usiadł szybko za kierownicą, włożył bieg i wcisnął gaz do oporu. Działał szybko, uciekał. Nie przed martwym osiedlem, martwe osiedla nigdy nie znajdowały się na liście jego lęków, bo przecież nie ma sensu bać się rzeczy martwych. Ale w tej ciemności za młynem, gęstej i cichej, kryło się coś gorszego, coś w ruchu, coś żyjącego, a życie w naszych czasach bywa niepokojące.

W naszych czasach boisz się przede wszystkim gwałtowności, dynamiki, ludzi, którzy biegną i krzyczą, naturalna jest cisza i niespieszny spacer, bać się należy wyskoków i zmiennych. Zgrab to rozumiał i zrozumiał jeszcze lepiej, gdy ujrzał płonący budynek schroniska. Kwaśny dym był wyczuwalny już przy dawnym markecie z poszarzałą biedronką w czarne kropki nad wejściem. Zatrzymał się kilkanaście metrów przed punktem odbioru i uważnie przyjrzał się czerwonym od ognia murom. Jeszcze nie zgłiszczom, ale już prawie, już za chwilę. Wrócił do samochodu i włączył CB. – Pewnie już czujecie. Schronisko się pali – powiedział. – Mam tych szarych z młyna. Gdzie ich zawieźć?

Gdy nikt nie odpowiedział, Zgrab jeszcze kilka razy powiedział do słuchawki o pożarze. Wreszcie, ku jego zaskoczeniu, głośnik radia zaszumiał i przemówił głosem Michałowskiego. – Jesteś przy schronisku? Odezwij się. Jesteś tam? Nigdzie się nie ruszaj, za chwilę będę – głos wójta był niespokojny. Zgrab potrafił poznać, kiedy szef gminy dostaje szału. Słowa, które z niego wychodziły w chwilach wzburzenia, łamały się, pękały w połowie, czasem nawet w jednej trzeciej, bo gęba i język nie nadążały przetwarzać myśli.

Gdy Saab 9 zatrzymał się na placu, nie było już czego oglądać. Wójt przechadzał się nerwowo wzdłuż siatki ogradzającej punkt przyjmowania chorych, zerkając co chwilę to na Zgraba, to na marszczków leżących w samochodzie.

– Daj mi fajkę – powiedział w końcu. Zgrab sięgnął po *Słownik terminów technicznych*, urwał

kawałek strony z definicją mechanizmu różnicowego i skręcił z niego dwa papierosy. – Jak trudne może być złapanie faceta ganiającego z dwoma psami, powiedz mi? – Michałowski wypuścił z ust długi sopel dymu. – On próbuje nas całkiem rozpiardolić, rozumiesz, Zgrabciu? za chwilę podpali całą gminę, razem ze mną i z tobą, jak będziesz sobie smacznie spał w swoim jeepie.

Zgrab milczał, ale Michałowski mówił dalej. – Rozumiesz, że on próbuje burzyć porządek? Porządek, nad którym obaj tyle pracowaliśmy! Pamiętasz, co tu się działo dwadzieścia lat temu, jak wyszedłeś z bidula? Chcesz, żeby znowu żywe trupy łąziły po mieście, żeby ci głupi ludzie ich karmili? Żeby zdrowe chłopaki, jak ty, nie znały smaku mięsa, podczas gdy organizmy produkujące tylko flegmę i żółte gówno karmi się tonami wieprzowiny? Ten chuj nie napadł na pocztę bez powodu, wiesz? On nie działa sam z siebie, może rzeczywiście ma nam za złe pewne sprawy, ale to jedynie służy wzmożeniu jego zaangażowania, nadążasz? Za nim ktoś po prostu stoi!

Zgrab nadązał, ale nie obchodziło go myślenie globalne, Zgrab chciał tylko dotrzeć do psiarza i go zlikwidować. Miał w dupie tło, postacie za nim stojące. Nie znał ich, nie mógł ich zobaczyć, dotknąć i przetrącić. Psiarza mógł.

– Jedź do Olbrzyma, może się tutaj nie spalił. Marszczków rzuć gdziekolwiek, daleko nie uciekną – powiedział wójt i strzelił papierosem w rozświetloną pożarem noc. Po otwarciu drzwi samochodu zatrzymał się i spojrzał przez ramię. – A tak w ogóle, co ci się stało z przednią szybą, Zgrabciu? To samochód gminy.

Zgrab włożył ręce do kieszeni i obrócił się, by spojrzeć na popękaną szybę. Był już przyzwyczajony do pajęczyny, więc dopiero po kilku sekundach zrozumiał, o co chodzi wójtowi. – To przez świnię, wbiegły na drogę jak wściekłe, może jakaś jeszcze tam leży, gdybyś chciał mięso.

Michałowski pokręcił głową na niesmaczny żart hycła – sam sobie jedz chore świnię – i wsiadł do czarnego Saaba. Zgrab poczekał, aż wójt odjedzie, i włączył silnik.

Zatrzymał się pod marketem ze zszarzałą biedronką w szyldzie i wciągnął ciała do sklepowej hali. Dziurę po niegdyś rozsuwanych, a dzisiaj na wieczność już rozsuniętych drzwiach zastawił na wszelki wypadek sklepowym regałem.

Michał, czyli Olbrzym, mieszkał w zdezelowanym kamperze na betonowym placu po instytucji, którą dawno temu, w starożytności, nazywano gminną spółdzielnią. Dzisiaj nazywa się to miejsce płytą i poza przyczepą Michała i kilkoma białymi ścianami po budynkach GieEsu nie ma tutaj niczego. Od czasu do czasu tylko, gdy są Dni Bomanowa albo inny festyn i pogoda dopisuje, Michałowski organizuje na płycie jakieś spotkanie z mieszkańcami. Wtedy przyczepę Olbrzyma przeciąga się na brzeg, pod stary kontener na śmieci, rozkłada się drewniany podest, ławy, stoliki i się pije, co kto przyniesie. W dni powszednie jednak na środku placu stoi zawsze stary, amerykański, oblepiony blachą w różnych miejscach dom na kółkach, w którego drzwi, również wzmocnione płatem blachy, walił właśnie Zgrab.

Głuche echo rozbrzmiewało na placu, ale w okienku przyczepy nie zapalało się światło, wewnątrz nie było też słyhać żadnego ruchu. Hycel wałnął jeszcze kilka razy i już miał odejść, gdy wreszcie usłyszał skrzypienie sprężyn materaca. W końcu drzwi się otworzyły.

– Zgrab, do kurwy nędzy, co tak tłuczesz? – głowa Michała kiwała się na elastycznym od wódki karku, trzymająca klamkę ręka co chwilę uginała się w łokciu i prostowała, aż w pewnym momencie całkiem się ześlizgnęła i pacnęła o udo. Zgrab czuł, że w tej przyczepie coś jest nie tak. Przeczuiwał, że jest inaczej, niż widział to wcześniej, w sobie, snując scenariusze. Bo zawsze przecież snuje się scenariusze tego, co będzie. Przeczuiwanie to ciekawe zjawisko, zwłaszcza w naszych czasach,

zwłaszcza u takich ludzi jak Zgrab.

W naszych czasach przecucie stoi bardzo blisko analizy, to właściwie analizowanie chwili. Ma może o jedną niewiadomą więcej i mieści się w czasie mniejszym niż pięć sekund, ale dla tych, którzy mimo wszystko teraz żyją, przecucie to jedyne, dzięki czemu przetrwali. Zgrab analizowania chwili, czyli przeczuwania, nauczył się w ośrodku. Olbrzym i Michałowski nauczyli się tego gdzie indziej, ale gdzieś musieli, bo wszyscy, którym udało się w naszych czasach przeżyć więcej niż 15 lat, wcześniej przyswoili analizowanie chwili. W ciągu niespełna pięciu sekund hycel przeanalizował sytuację. Michał był zalany w pestkę, ale to nie wódkę dało się wyczuć. Jego džinsowa koszula śmierdziała benzyną. Hycel wepchnął go szybko do przyczepy, zerknął w prawo, potem w lewo, zajrzał za stojącą obok szafkę, otworzył ją, następnie otworzył pozostałe, w końcu zerwał z łóżka materac. Pod gołymi sprężynami leżał blaszany kanister oraz plastikowa, pięciolitrowa bańka. Jedno i drugie puste. Zgrab wyciągnął kanister i z wyczuciem uderzył pracownika schroniska w twarz. Jego głowa odskoczyła, hycel złapał go za koszulę i cisnął nim o ścianę. Gdy zamroczony Michał upadł na podłogę, Zgrab przyciągnął jego pijane truchło do wejścia, położył nogę między drzwiami a ścianą przyczepy, aby kolano dotykało futryny, i z całej siły szarpnął drzwiami do wewnątrz. Powtórzył to jeszcze dwa razy. Za trzecim coś chrupnęło, Olbrzym ryknął, Zgrab delikatnie nacisnął butem jego kolano. – Masz fajki? – zapytał spokojnie, a gdy nie usłyszał odpowiedzi, mocniej docisnął podeszwę. Michał, skamłając, machnął ręką w stronę plastikowego stolika przy łóżku. Zgrab wziął z niego kilka zrobionych w maszynie papierosów i przysunął krzesło bliżej Olbrzyma. W tym czasie Michał próbował się podnieść, ale ból, rozchodzący się gorącą falą po nodze, skutecznie trzymał go w parterze.

– No, mów – zaczął hycel. – Jak było z tą pocztą? Dlaczego garda wiejska go nie zatrzymała?

– Zgrab, proszę, daj mi wódki, butelka jest obok łóżka, daj się napić, to pogadamy – ciężka, spocona głowa Michała leżała na podłodze, gdy mówił, nawet nie próbował jej podnieść. Hycel przelał do szklanki połowę zawartości butelki, resztę postawił przed głową Olbrzyma. Następnie, gdy Olbrzym z trudem próbował się napić, jeszcze raz przejrzał sklejkowe półki, którymi zabudowany był kamper. Na jednej z nich znalazł kopertę ze złożoną na pół kartką. Na jednej stronie wydrukowane zostało koło przekreślone poziomą kreską – symbol Insurgentów Nowej Rzeczypospolitej. Ciekawsza wydała się Zgrabowi druga strona kartki, z tekstem umowy, napisanym w podniosłym niczym przysięga stylu i podpisanym czytelnie przez Olbrzyma.

– Już całe pół roku wiernie służysz tym świrom – powiedział, siadając na krześle. – Czemu napadliście pocztę? Co tam było?

– Na nic nie napadałem.

Zgrab delikatnie oparł but o nogę Olbrzyma. – I tak w końcu powiesz.

– To mówię, mówię, co wiem, a wiem, że na nic nie napadałem.

Zgrab bardzo szybko tracił cierpliwość. W naszych czasach brak cierpliwości jest dosyć powszechny. Ci, co nie wiedzą, ile pożyją, zawsze są niecierpliwi.

– A psiarz?

– Pytaj psiarza.

Hycel mocno nastąpił na nogę Olbrzyma i przytrzymał tak kilka sekund. Olbrzym boleśnie stękał, ślina i flegma z nosa oklejały mu policzek i brodę. Gdy po kilku głębszych wdechach ból trochę zelżał, zaczął mówić.

- Miał przyjść jakiś okólnik z Warszawy, psiarz nie chciał, żeby wójt go dostał...
- Bzdura. Warszawa wysyłała pisma przez swoich gońców bezpośrednio do gminy.
- Zwykle tak, ale nie teraz, nie wiem, dlaczego, może nie mieli sił przerobowych? Mówię, co słyszałem od psiarza.
- Co było w tym okólniku?
- Wytyczne, żeby problem z chorymi rozwiązywać samemu.
- Co to znaczy?
- No kurwa, nie wiesz? Żeby każda gmina wykopała sobie gdzieś w lesie wykurwisty dół, wrzuciła tam szarych i zasypała wapnem i ziemią. Nie tak jak teraz.
- A co wam to za różnica?

Olbrzym długo nic nie mówił, ale Zgrab tym razem go nie dociskał. Zapalił jeszcze jednego papierosa i wziął łyk wódki. Rozejrzał się za czymś do jedzenia. Na podłodze leżał kawałek starego chleba zawinięty w papier. Pożarł go dwoma kęsami.

– Taka różnica, że wasz system jest zły, wy jesteście źli – wystękał w końcu Olbrzym. – Wy nie rozumiecie, że ktoś kiedyś w końcu znajdzie na to lekarstwo, ktoś musi znaleźć, bo przecież ta kara boża nie będzie trwała wiecznie, bo Bóg nie pozwoli, by trwała. Zrozum: ty, Michałowski i reszta waszej bandy niech zrozumie, że naturalnie to wy powinniście być odstrzeliwani, my powinniśmy was tępić, nie odwrotnie. Tak było zawsze, tylko ty o tym nie wiesz, bo nie czytałeś i nie słuchałeś tego, kogo należało słuchać. Nie wiesz, jak było kiedyś.

– A ty skąd wiesz?

– Nasz oficer mi powiedział.

– Psiarz? Oficer?! – krzyknął Zgrab i już chciał dodać: bądź, chłopie, poważny, to koleś, który wrzucił swoją żonę do piwnicy, ale nie było potrzeby, by mu cokolwiek tłumaczyć. – Służby muszą działać według danych z góry przepisów – powiedział w zamian.

– Każdemu z nas kogoś zabraliście, ileż to można wytrzymywać! – krzyknął Olbrzym, tym razem z lekko uniesioną głową. – To nie byli martwi ludzie. To wy tak wszystkim wmawiacie, tobie tak wmówiono, a ty powtarzasz. Dobrze wiesz, że oni żyją. Chcesz dowód? Mogę ci pokazać zdjęcia z instytutu, chorzy od dwóch lat stoją, potrafią utrzymać 5 kilowy odważnik, po lekach czasem mówią. Ty jesteś głupie bydle, nauczyłeś się tak żyć i nie potrafiłbyś inaczej. Jakby ci Michałowski powiedział, żebyś sobie odciął kutasa, to byś nie mrugnął, nie chcesz poznać prawdy, zrozumieć, zerknąć dalej, niż sięgają lasy bomanowskie i te stare kurhany, w których przesiadujesz razem z innymi menelami. I nie sprzedawaj mi teraz tej samej historyjki, co każdemu, że tak musi być, że wznosisz się ponad własny egoizm, że brata oddałeś do schroniska, bo ja wiem, że to gówno prawda z tym bratem i egoizmem, więc jak chcesz mnie zatłuc, to śmiało, ale wy i tak już przegraliście. Nas na wschodzie jest jak kot napłakał, ale to idzie od zachodu, rozumiesz. W Berlinie pracują dobrzy ludzie, jak nasz oficer, i oni chcą znaleźć lek, i w końcu znajdą, a wtedy, jak to stanie na nogi, to my was postawimy przed sądem i zrobimy z wami to, co Warszawa teraz każe, wykopimy dół i was tam, skurwysyny, zasypujemy wapnem na żywca.

Zgrab kopnął Olbrzyma w nogę, by przestał mówić. Ten zakwilił i napiął mięśnie.

– Gdzie jest psiarz?

– Nie wiem, nikomu nie mówi, gdzie przebywa.

Zgrab kopnął go jeszcze kilka razy w kolano i przypalił papierosem, a gdy już znał odpowiedź, ciachnął mu nożem gardło. Podobnie jak szaremu bocianowi, podobnie nie rozumiejąc.

W jeepie zapalił skręta i ulżył sobie ręką. Teraz leżał w ciszy i zastanawiał się, czy pojechać do Michałowskiego, czy od razu poszukać ziemianki oficera insurgentów Marka jakiegoś tam, czyli psiarza. Wielki Las za Dołami był, zgodnie z nazwą, długi i szeroki, a instrukcje Olbrzyma, mimo przypalania papierosem i naciskania zgruchotanego kolana, były niedokładne, i nawet Zgrabowi, który dobrze znał te ziemie, nie pozwoliły ułożyć w głowie szczegółowej marszruty. Ostatecznie historię z Michałem Zgrab opowiedział Michałowskiemu przez radio. Wójt odpowiedział oszczędnie, żeby zająć się marszczkami odłowionymi w młynie, a później „się pomyśli, się zobaczy”.

Hycel zajechał pod stary market ze zszarzałą biedronką w szyldzie, wysiadł z samochodu i ruszył do wejścia. Regał, którym je zastawił, był na kilkanaście centymetrów odsunięty. Zgrab przecisnął się przez szczelinę, w środku jednego brakowało, tego najżywszego, tego z widocznymi mięśniami pod szarą skórą i żyłami na skroni. Hycel pośpiesznie sprawdził resztę sklepu, wyszedł na zewnątrz, okrążył budynek, rozejrzał się po okolicy, ale po marszczku nie było śladu. Wyciągnął więc nóż i przez gardła wygnał resztki życia z pozostałych. Długo myślał, co zrobić z ciałami, a gdy nic sensownego nie przyszło mu do głowy, uznał, że na razie zostawi je w markecie. Wyszedł ze sklepu, jeszcze raz się rozejrzał, a gdy nikogo nie zobaczył, wsiadł do jeepa ze splekaną szybą.

Zaczynało świtać, ale Zgrab nie czuł senności. Narastał za to ból w lewym ramieniu, zranionym podczas ostatniej akcji w Dołach. Był wtorek i kwitł dzień – szary, brzydki, listopadowy, ale jednak dzień – więc wzdłuż gminnej drogi, prowadzącej do węższej szosy, która z kolei prowadziła do Dołów, mieszkańcy gminy rozstawiali na poboczu stragany. W naszych czasach handluje się wszystkim: meblami, zapalkami i starymi monetami (na przetopienie) za wszystko: mąkę, meble, zapalki i monety. Zgrab przypominał sobie, jak sam się czasem wystawiał. Rok temu stary i spowolniony od rdzy nóż sprężynowy sprzedał za 20 kilo ziemniaków, a krzesło za przeterminowaną o rok paczkę krakersów. Były miękkie i smaczne, Zgrab drugi raz w życiu jadł wtedy krakersy.

Gdy minął przydrożne targowisko i skręcił w prawo, wjeżdżając na wąską drogę, prowadzącą do Dołów, w oddali, jakieś pół kilometra przed budynkami dawnej ubojni trzody, zobaczył wolno kroczącą postać. Od razu rozpoznał w niej silnego marszczka, który jakimś cudem odsunął regał i wyszedł z marketu. Szarak, kompletnie nagi, garbiąc się i potykając, szedł powoli, na wskroś, poprzez pola, w stronę południowej ściany Wielkiego Lasu.

Hycel zostawił samochód na poboczu i ruszył za marszczkiem na piechotę, ciągle zastanawiając się, jak to możliwe, że chory jest w stanie iść tak długo, że może w ogóle chodzić, że sam odsunął regał. Jak to możliwe, że rozumiał, co się z nim stanie. Marszczek minął miedzę i wszedł na zarośnięty ugór, Zgrab truchtał za nim powoli, podnosząc przy tym wysoko nogi. Ciekawy, gdzie chory podąży, nie próbował go dogonić, trzymał się bezpiecznej odległości kilku metrów. Marszczek minął pierwsze drzewa, następnie przedarł się przez ścianę krzewów i gałęzi, raniąc przy tym swoją cienką skórę. Hycel z zainteresowaniem obserwował, jak ofiara prze naprzód, bez namysłu, nie okrążając przeszkód, a taranując je nagim ciałem, potykając się jedynie co kilka kroków. Gałęzie i gałązki ugięły się i biły, a chory przystanął zaledwie kilka razy, w miejscach, gdzie las stawiał największy opór. Był słaby, ale miał w sobie niepojętą siłę przerażonego zwierzęcia.

Docierali już do najciemniejszej części lasu, i choć był listopad, więc drzewa były gołe, tutaj, pod dachem gałęzi i między ścianami krzewów, nadal panował półmrok. Zgrab zgiął się w pół i zaczął

kaślać, pokłady słonej flegmy z wnętrza ciała wskakiwały na język i razem ze śliną wyciekały przez usta. Po plecach przeszedł mu zimny, grypowy dreszcz. Gdy się wyprostował, analizowanie chwili nie poszło mu tak, jak powinno.

Psiarz Marek z karabinem myśliwskim w dłoniach stał oparty o drzewo. Dwa wilczury, jeden popielaty, drugi ciemnobrązowy, siedziały nieruchomo obok niego, bacznie wpatrując się w Zgraba. Z języków kapą im rzadka, przezroczysta ślina. Popielaty warknął.

- Spokój - powiedział jego pan i podrapał go za uchem.

Zgrab zauważył, że za drzewem, o które opierał się psiarz, znajdowało się przykryte drewnianymi deskami wejście do jego ziemianki. Kilka metrów dalej stał skulony marszczek i wpatrywał się w hycła niemrugającymi, ciągle żywymi oczami. Zgrab ostrożnie sięgnął do kieszeni i wymacał uchwyt pistoletu. W tym samym momencie rzucił się na niego popielaty. Hycel poczuł, jak szczęki psa zaciskają się na jego rękach, puszczają i znowu się zaciskają, dziurawiąc skórę. Po chwili obaj - pies i człowiek - wyrócili się i boleśnie uderzyli o ziemię. Zgrab nie potrafił między jednym a drugim ugryzieniem wydobyć z kieszeni pistoletu, walka ze zwierzęciem trwała kilkadziesiąt sekund. W pewnym momencie psiarz gwizdnął i pies momentalnie odskoczył, a gdy hycel otworzył oczy, zobaczył przed swoją twarzą otwór lufy.

- Chcę się do was przyłączyć - powiedział drżącym głosem.

- Do kogo?

- Do was, do ciebie.

- Nie rozumiem. Do jakich nas?

- Chcę zająć Michałowskiego, mogę to zrobić tak, że nikt was z tym nie powiąże.

- Sam mogę to zrobić.

Zgrab zerknął w prawo, marszczek, do tej pory znieruchomiał, podszedł bliżej. Nie bał się już tego groźnie wyglądającego mężczyzny, który go gonił.

- Nie możesz, wszyscy by wiedzieli, że to ty - powiedział Zgrab. - Za bardzo ci zależy na kumplach w Warszawie, wiem, że masz tam plecy, wszyscy wiedzą. Jakby się dowiedzieli, że zaciukałeś szefa dużej gminy, nikt by cię nie bronił, poszedłbyś wisieć. Przecież już dawno byś to zrobił, gdybyś mógł.

Psiarz cofnął się o krok, ale nie schował broni. Zgrab nie łudził się, że mu uwierzy, a z drugiej strony, czemu właściwie miałby mu nie wierzyć? Wszystko, co mówił, było prawdą. Prawie.

- Dlaczego miałbyś go zabić?

- Żeby wejść na jego miejsce.

Młody pracownik gminy, którego imienia Zgrab nie pamiętał, mieszkał z rodziną w opustoszałym, dużym domu obok silosów, do których późnym latem sypie się rzepak i zboże. Pracę skończył pół godziny temu i już powinien wrócić, ale Zgrab nikogo nie dostrzegł na horyzoncie. Zaczął się obawiać, że ciota pojechała do wójta, w takim wypadku cały plan wzięłby w łeb. W końcu w oddali pojawił się jakiś niewyraźny kształt z rękami i nogami. Młody urzędnik minął furtkę i wszedł do domu. Po kilku minutach na piętrze zapaliło się światło i zgasło po kwadransie. Choć było zimno, hycel odczekał jeszcze godzinę. Była dziesiąta, miał nadzieję, że o tej porze chłopak już śpi. Wrócił do

jeepa i ruszył w stronę rogatki.

Zaparkował przy nieczynnych torach, na wysokości wygiętego semafora. Wyrwał kartkę ze *Słownika terminów technicznych*, skręcił dwa papierosy i spalił je jeden po drugim. Zerknął na zegarek, jeszcze godzina. Za godzinę psiarz będzie w Warszawskim Magistracie Centralnym, z marynarką zamiast wytartej skórzanej kurty i z psami na smyczy, a nie, tak jak zwykle, przy nodze, nawet bez obroży. W magistracie razem z jakimś urzędasem usiądzie w kawiarni. Porozmawiają o marszczkach, polityce i Bomanowie. W tym czasie Zgrab pokanceruje Michałowskiego.

Gdy zegarek wskazywał jedenastą, hycel wysiadł z samochodu i przeszedł kilkanaście metrów wzdłuż torów. Następnie minął dwie zapadnięte chałupy i skręcił w lewo. Stał przy chatce dróżnika i przyjrzał się mieszkaniu Michałowskiego. Światło paliło się w jednym pokoju na parterze, Zgrab wiedział, że jego kochanek, męska dziwka, którą przyprowadził kiedyś do Bomanowa z jakiejś podlubelskiej przydrożnej mordowni, przychodzi w inne dni i teraz wójt jest zapewne sam. Nikt inny go nie odwiedzał, bo niby po co go odwiedzać?

Zgrab przez kilkanaście minut stał przy chatce dróżnika i wpatrywał się w okno. Jeszcze raz sprawdził, czy wziął wszystko, co miał wziąć: nóż, pistolet, papieros, i ruszył w stronę domu wójta. Po drodze ponownie zerknął na zegarek, było sześć minut po dziesiątej. Siedem, gdy zapukał do drzwi. Pociągła i stara twarz Edmunda Michałowskiego najpierw spięła się w zdziwieniu i szybko rozluźniła, gdy Zgrab powiedział, że ma dobre nowiny. – Mogę wejść?

Wójt nastawił czajnik, do dwóch kubków wsypał trochę ususzonych ziół zebranych w lecie. Herbatą częstował ostatnio, starczy, niełatwo ją dostać w naszych czasach.

– Załatwiłeś? – zapytał wójt, nie odwracając się od blatu.

– Tak, leży w jeepie.

Michałowski głośno odetchnął i odwrócił się, trzymając w dłoniach kubki z wywarem. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, Zgrab zauważył, że znowu ułamała mu się proteza zęba.

– Świetnie, mówiłem, że zrobisz to najlepiej. Jutro przyjdź do gminy po kasę.

– Muszę się odlać – powiedział Zgrab i wstając, stracił kubek z gorącym płynem. Kubek stłukł się na podłodze. – Trudno, nic się nie stało, zaraz wytrę.

Dziurawy uśmiech nie schodził wójtowi z ust. Gdy nie znalazł szmatki w kuchni, wszedł do drugiego pokoju. W tym czasie hycel otworzył jedną z szuflad – pamiętał, gdzie wójt trzyma przybory kuchenne – i pomiędzy łyżek i widelców wyciągnął szeroki nóż do mięsa. Michałowski nawet nie zdążył się zorientować w sytuacji, ostrze niemal całe zniknęło w jego brzuchu. Zgrab trzykrotnie powtórzył uderzenie, mocniej i szybciej, a następnie dźgnął go w krocze. Skończył, robiąc dużą szparę w szyi. Krew była na każdej szafce, kubku i widelcu, na każdym centymetrze kwadratowym przestrzeni. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał.

Gdy wychodził, spojrzał jeszcze na twarz Michałowskiego – nie uśmiechała się już dziurawo, ale nadal była spięta. Jego dłoń ciągle ścisnęła szmatkę z podartej koszuli. Zupełnie jakby chciał wytrzeć kuchnię.

Zgrab polał zakrwawione ciuchy benzyną i rzucił w tłące się jeszcze zgliszcza schroniska dla marszczków. Następnie zdrzemnął się około godziny i wstał, by szybko wypełnić raport z poprzednich akcji, w razie gdyby ktoś chciał go sprawdzić.

1. Mężczyzna, lat ok. 45, ok. 180 cm wzrostu, włosy ciemne, cera jasna, konieczne było trwałe unieszkodliwienie podczas próby odłowu chorego.
2. Mężczyzna, lat ok. 50, ok. 190 cm wzrostu, włosy ciemne, cera jasna, pracownik opłacany przez gminę, udowodnione: sabotaż, szkodnictwo, utrudnianie śledztwa, atak na funkcjonariusza publicznego, udokumentowania współpraca z nielegalną organizacją, trwałe unieszkodliwienie podczas obrony własnej ww. funkcjonariusza.

Po spisaniu raportu zapalił papierosa i jeszcze raz powtórzył w głowie plan. Młody pracownik gminy, którego imienia Zgrab nie pamięta, zaczyna pracę o ósmej, Michałowski zwykle przychodzi około dziewiątej. Gdy nie zjawi się o tej porze, młody zacznie się zastanawiać, co jest grane. Jeśli nie będzie miał pilnych spraw, nie przyjdzie do wójta wcześniej niż o dziesiątej, ale gdyby coś wymagało pilnej rozmowy, zapuka do niego chwilę po dziewiątej. Czyli najbezpieczniejszy wariant to czas między ósmą a dziewiątą. Młody ma blisko, nie wyjdzie z domu wcześniej niż wpół do ósmej. U niego wszystko potrwa chwilę, nóż można zostawić gdziekolwiek, z tyłu ma drewnutnię, tam głupi, w szoku, mógłby ukryć narzędzie mordu między drzwami. Kochanek Michałowskiego potwierdzi, że to nóż z kuchni wójta. Rodzinie młodego wyjaśnimy, że wyszedł ukradkiem w nocy, wytłumaczymy wszystko, każde alibi będzie wyglądało blado.

Zgrab naprawdę chciał rządzić gminą, rozwalić psiarza, tego niebezpiecznego, fałszywego idealistę, który tak naprawdę chciał się tylko urządzić. Zgrab bardzo chciał tchnąć trochę życia w okolicę, gdy nadejdzie wiosna. Jeśli tylko jego kaszel do tego czasu nie zamieni się w szarą skórę. Chciał też w końcu mieć ładny dom i pieniądze na piwo, i nawet chciałby, żeby innym lepiej się wiodło, żeby nie płacili za wszystko urzędowi, żeby mogli istnieć. A żeby umożliwić im istnienie, trzeba było zrobić coś złego, coś złego nawet w optyce Zgraba.

Dlatego, gdy wskazówka zegarka zbliżała się do ósemki, Zgrab odpalił samochód i zajechał pod dom młodego, otworzył cicho furtkę i szybko podszedł do drewnutni na tyłach podwórka. Wiedziony wyższą koniecznością, podniósł trzy szczapy i położył pod nimi nóż z zakrzepniętym Michałowskim. I szybko wrócił do samochodu, którego silnik ciągle chodził, jakby czekał na niego, jakby mu pomagał. I pojechał prędko pod gminę, ale tym razem bardziej dla szopki niż z potrzeby, darł oponami o asfalt i pisał, żeby ludzie, którzy znają przecież jego czarnego jeepa, wiedzieli, że coś się stało, że on jedzie łapać przestępcę. Pod urzędem znowu włożył pistolet do kieszeni i już snuł scenariusz w głowie, myślał, co zrobi i co powie, jak go przytrzyma, jak krzyknie: „Oskarżamy cię o zabicie wójta Michałowskiego” i jak przy wszystkich wpakuje go to samochodu. Może użyć kajdanek? Są przecież w schowku, nieużywane od lat, bo nie było potrzeby. Zgrab sięgnął do schowka po kajdanki z kluczykiem, żeby wszystko poważniej i groźniej wyglądało, i wysiadł. Chciał podbiec do drzwi, ale zatrzymał się, widząc przed urzędem kobietę w płaszczu. Znał tę twarz, ale nie potrafił jej nazwać, nie wiedział, co to za kobieta przed nim stoi i co spod płaszcza wyjmuje. Nie wiedział, że to matka tego marszczka z Dołów, z domu z ładną elewacją, z tunelem prowadzącym z piwnicy na pole, skojarzyłyby może, gdyby miała na sobie polskie kolory, jak wtedy. A tak nie pamiętał jej, tyle już tych matek było, że ciężko byłoby tę jedną na dłużej zatrzymać w pamięci. Znał natomiast całkiem nieźle kształt uciętej dubeltówki, który nagle wyskoczył spod płaszcza. W ostatniej chwili kucnął za samochodem. Drobinki śrutu z pierwszego naboju rozbiły się o karoserię. Zgrab wyciągnął pistolet i skulony obszedł jeepa, wychylił się i chciał strzelić, ale przed sobą zobaczył jedynie chudego pracownika urzędu, którego, o ironio naszych czasów, przyjechał aresztować. Chłopak akurat wyszedł z urzędu, bo źle się poczuł w pracy i wziął wolne na resztę dnia. Teraz stał i patrzył na Zgraba, a Zgrab na niego. Wrażenie, że to jakaś kosmiczna komedia, sprawiło, że hycel na sekundę zapomniał o kobiecie z obrzynek. Nie zdążył się obrócić, drugi pocisk rozbryzgnął się na jego plecach, rozdarł kurtkę, wbił się w skórę na plecach i głowie, i powalił go na ziemię. „Tam jest przestępca!” – krzyknął Zgrab, wskazując na przerażonego urzędnika, i spróbował wstać, ale ból przytrzymał go przy ziemi. Kobieta w tym czasie zdążyła załadować kolejną parę śrutowych nabo i

przystawić obrzyna do jego potylicy. Zgrab nie rozumiał, czemu to robi, czemu nikt nie biegnie na pomoc, był przecież obrońcą Bomanowa. Hycel był w szoku, że tak właśnie umiera. Myślał, że kiedyś po prostu zszarzeje i opadnie z sił, i odłowi go jego następca. Nie sądził, że zginie tak, zastrzelony, przez kobietę, zupełnie na dodatek mu nieznaną.

Kobieta, hyclowska Nemezis, coś jeszcze mówiła, ale hycel nie słyszał słów. Mówiła coś o naszych czasach, coś, że „to są właśnie takie czasy, przykre czasy, niedobre”. Później mówiła, że w tych czasach się zdycha, a nie umiera, ale tego Zgrab nie słyszał tym bardziej, bo już leżał obok swojego jeepa ze śrutem w mózgu. Słowa kobiety słyszał wyraźnie i rozumiał za to młody urzędnik, który miał zabić Michałowskiego, ale jakaś wariatka ze strzelbą mu nie pozwoliła. Chłopak spokojnie, po cichu, nie patrząc, przeszedł za jej plecami.

Po powrocie z urzędu rozebrał się do slipów, wypił trochę rudego bimbru i zasnął na kanapie, by rano z powrotem się ubrać, przemyć twarz i spokojnie, po cichu, nie patrząc na boki, pójść do pracy. A nóż nadal leżał w drewnutni, przyłożony trzema polanami wiśni, aż w końcu, po kilku tygodniach leżenia w wilgoci, krew przestała przypominać krew. I młody pracownik urzędu nie został mordercą wójta. Został hyclem, bo trzeba było wypełnić lukę po Zgrabie. Ale to było już w innych czasach niż nasze, w czasach, o których niewiele wiemy.

Daniel Drob